

## IDŹ DO

PRZYKŁADOWY ROZDZIAŁ



## KATALOG KSIĄŻEK

KATALOG ONLINE

ZAMÓW DRUKOWANY KATALOG

## TWÓJ KOSZYK

DODAJ DO KOSZYKA

## CENNIK I INFORMACJE

ZAMÓW INFORMACJE  
O NOWOŚCIACH

ZAMÓW CENNIK

## CZYTELNIA

FRAGMENTY KSIĄŻEK ONLINE

# Nomadzi cyberprzestrzeni

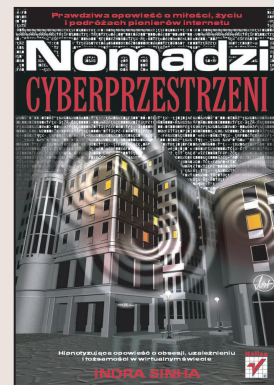
Autor: Indra Sinha

Tłumaczenie: Tomasz Misiorek

ISBN: 83-7361-335-8

Tytuł oryginału: [The Cybergypsies](#)

Format: B5, stron: 414



„Nomadzi cyberprzestrzeni” odkrywają przed czytelnikiem fantastyczny świat cybernałogowców. Cokolwiek słyszeliście lub czytaliście na temat sieci, prawda jest dziwniejsza, zabawniejsza i bardziej przerażająca.

„Nomadzi cyberprzestrzeni” to historia i osobiste zwierzenia „Bears”, pracownika agencji reklamowej, ojca i męża mieszkającego na angielskiej wsi, gotowego poświęcić niemal wszystko dla conoconej dawki cyberrzeczywistości, w której można napotkać najdziwniejsze rzeczy: od indyjskiej erotyki aż po wiedźmy i wirusy komputerowe...

W miarę jak rzeczywistość prawdziwa miesza się z wirtualną w ciągu przedziwnych przygód, których bohaterami są między innymi: aktorka filmów porno, technopaci planujący zawirusować system komputerowy kierujący pracą elektrowni jądrowej i Lord Jeffrey Archer, słuchający kurdyjskiej pieśni, Bear coraz bardziej angażuje się w sieciowe kampanie na rzecz kurdyjskich uchodźców i ofiar zatrucia gazem w Bhopalu. Ich tragedie wplecione zostały w mroczny sen, jakim stało się jego życie. Wszystko to prowadzi do kryzysu osobistego i moralnego. Gdy sieć zaczyna go pochłaniać, Bear zabiera swoją żonę w podróż po Irlandii, podczas której, w ostatniej rozpaczliwej próbie uratowania małżeństwa, wyznaje wszystko.

Ta niezwykła odyseja odkrywa przed nami przerażający, ale i wciągający świat, w którym rzeczywistość i wyobraźnia zlewają się w jedno, Niniejsza książka to jednocześnie technozagadka, osobiste wyznanie i opowieść z dreszczykiem.

„Nomadzi cyberprzestrzeni” to zajmująca lektura, umożliwiająca zajrzenie do świata nieskończonych możliwości, której nie oprze się nawet najbardziej zawzięty technofob.



## *Satanbug*

Jest trzecia rano, łączę się z komputerem Jezusa Slutfuckera. Jezus informuje mnie, że pisze jedną ręką, kciukiem drugiej otwierając piwo. Mówi, że musi się napić. Gdy wrócił do domu, zastał swoją dziewczynę pakującą ciuchy do walizki. Oznajmiła mu, że ma dość bycia przywiązaną do takiego gówna jak on, przez jego styl życia z jej głową dzieją się rzeczy trudne do opisanania i że odchodzi. Aby podkreślić swoje racje, na odchodne wsadziła mu nóż w tyłek. Jezus jest pielęgniarzem, więc zdaje sobie sprawę, że ledwie go skaleczyła, ale w tym przypadku powodem jego cierpień nie był nóż.

*lepiej mi be z tej s u ki...*

Próbuje grać twardziela, ale z całą pewnością przeżył szok. To, że jest zdenerwowany, widać wyraźnie po sposobie, w jaki pisze, po literach wybuchających jadem na ekranie mojego komputera. „Niech to szlag” — mówi Jezus. Zraniony czy nie, uczci jej odejście wypijając jeszcze kilka piw, a potem zacznie się nocka ostrej jazdy po sieci. Cóż, w Oklahoma City, gdzie Jezus siedzi zgarbiony nad klawiaturą, jest dopiero po dziewiątej, więc ma przed sobą całą noc. Dla mnie noc już niemal się skończyła. Coś — księżyc? wytwór mojej wyobraźni? świt? — srebrzy niebo nad lasami hrabstwa Sussex na wschodzie. Siedziałem przy komputerze przez bite sześć godzin i marzę już o łóżku. Oczy mnie bołą od wpatrywania się w migotanie niebieskiego ekranu, ale Jezus wchodzi na falę, a jest sprawa, którą chciałbym z nim załatwić. Piszę:

*➤Geno, tutaj w Anglii znajomi robią pod siebie ze strachu przed wirusem zwanym Satanbug. Jest sprytny i wredny — wszystko wskazuje na to, że pochodzi ze Stanów. Wiesz coś o nim?*

Zanim satelitarne połączenie ze Stanami zaskoczy, upływa dobra chwila. Oto pytanie, które chciałem zadać. Jezus Slutfucker, aka Geno Paris, samozwańczy „technopata”, jest właścicielem jednej z największych sieciowych kolekcji wirusów: ma wszystkie zarazki

występujące powszechnie w biuletynach informacyjnych służących do wymieniaania wirusów, a oprócz tego całe setki egzotycznych okazów, rozmaitych i bliżej nieokreślonych gatunków schwytyanych w ich środowisku naturalnym. Co więcej, niemało z nich napisał osobiście. Ma kontakty z każdą poważną grupą terrorystyczną w wirusowym podziemiu. Jeśli ktokolwiek wie cokolwiek o Satanbugu, tym kimś jest właśnie Geno. Oczekiwanie na odpowiedź jest dłuższe niż zwykle. Zastanawia się. Wtem ekran ożywa i pojawiają się na nim kolejne litery.

*>wiesz bear, to zabawne, w ciągu ostatnich dwóch dni jesteś już drugim angolem, który pyta mnie o satanbuga...*

*>Kto był tym pierwszym?*

*>podłączyła się panienka z uk, pytała, czy go mam... dziwna dziewczyna... nazywała się slasha, jakoś tak, czy coś w tym rodzaju... nie chciało mi się wierzyć, że ona to rzeczywiście ona i że łączę się z uk, więc do niej zadzwoniłem...*

*>Telefonowałeś do niej?*

Slasha musiała być rzeczywiście wyjątkowa, jeśli Geno zafundował sobie ze względu na nią transatlantyckie połączenie telefoniczne z własnego aparatu. Przemierzanie sieci w czasach poprzedzających powstanie internetu jest kosztowne i z tego właśnie powodu wielu modemowych podróżników swoje wycieczki urządza na rachunek (telefoniczny) osób trzecich. Pierwszym, czego musi się nauczyć haker, na długo zanim zacznie włamywać się do cudzych komputerów, jest korzystanie z sieci na cudzy koszt. To nieomal aksjomat sieciowego życia. Aby przetrwać, wiedząc życie sieciowego nomada, musisz być hakerem. Albo bogaczem. Moje finanse, jako nie-hakera, który od lat przemierza pod nocnym niebem elektroniczne drogi i rozdroża, znalazły się w poważnym dołku. Choćby połączenie z komputerem Geno w Oklahoma City kosztuje mnie fortunę. Odkąd rozpocząłem nocne wędrówki po sieci, nasze rachunki telefoniczne urosły do tak straszliwych rozmiarów (rekord wynosił dwa tysiące funtów za okres rozliczeniowy), że zacząłem ukrywać je przed Eve.

*> cóż, jest prawdziwa... ale pokręcona... jedną z pierwszych rzeczy, które mi powiedziała, było to, że nie przepada za facetami ze stanów, bo nie potrafią dogodzić dziewczynie laniem tak, jak angielscy dżentelmeni... przysięgam, że tak właśnie powiedziała, niemal dosłownie...*

Jestem tak zdziwiony, że zapominam odpisać.

*> hej, bear, jesteś tam jeszcze...?*

Komunikowanie się za pośrednictwem klawiatury komputera zawsze jest męczące. W czasie takiej rozmowy nie ma nic gorszego niż siedzenie z założonymi rękami w oczekiwaniu na odpowiedź drugiej strony. W końcu zebrałem się na odpowiedź.

*> Wiesz Geno, Anglicy są znani z takich rzeczy. Francuzi mówią na to „le vice anglais”. Ale ta Slasha... o co jej chodzi z tym Satanbugiem?*

Czuję, że w tej chwili Jezus śmiejąc się, odchyła się na krześle.

*> wiedziałem, że angole mają tego typu skłonności, ale nie wiedziałem, że angielskim laluniom to się naprawdę podoba...:) porypana kobita... poprosiła o dostęp do mojego systemu, a w zamian sprezentowała mi parę wirusów... kilku z nich chyba nawet nie miałem...*

To też jest niezwykle. Jedynych wirusów, jakich brakuje w jego kolekcji nie łapie się za pośrednictwem komputera.

*> wrzuciła swoją fotkę — gif domowej roboty... chyba mówiła, że ma jakieś 36 lat, co nawet by się zgadzało ze zdjęciem... blondynka, wygląda na farbowaną... zobaczę, czy uda mi się znaleźć tego gifa, zaczekaj...*

Siedzący na drugim końcu świata Geno nie może usłyszeć mego westchnienia. Jest trzecia dwanaście rano, o siódmej wychodzę do pracy, ale rozłączenie się w tej chwili pozostaje poza dyskusją. Ciekawość złapała mnie z siłą zapaśnika. A właściwie to więcej niż ciekawość. To, czego doświadczam, przypomina bardziej lekką paranoję. Czy jest możliwe, żeby ktoś był podłączony do mojej linii telefonicznej? Czasami wygląda to tak, jakby wszystkie połączenia w sieci żyły własnym życiem, a informacja przepływała przez nie niezależnie od tego, jakie tamy i blokady będziesz stawiał na jej drodze. Znajdzie

przejście, przesączy się przez kable i popłynie falami przez przestworza. Informacja, jak uparcie powtarzają kandydaci na hakerów, chce być wolna. Są jednak takie jej rodzaje, które trudno znaleźć. Dostanie się do systemów rozpowszechniających wirusy zabrało mi rok — tyle czasu musiałem poświęcić, aby wejść w kontakt z ludźmi piszącymi fragmenty rakotwórczego kodu i rozsyłającymi je po świecie, by atakowały cudze dane. Chciałem móc podpatrywać tych ludzi, ale to nie takie proste. Nie istnieje prawo zabraniające pisania wirusów, zabronione jest tylko ich wykorzystywanie. Moje motywy mogły być źle zrozumiane, więc nikomu, nawet mojemu „kumpłowi” — Brzydkiemu Nedowi Sieciowej Wtyce — nie opowiedziałem o przygodzie z wirusami. Geno to moja tajemnica. Tak przynajmniej sądziłem, aż do dziś.

*Institut Badania Wirusów z siedzibą w Oklahomie*

Pan Slutfucker, nieświadomy mej nagłej konsternacji (byłoby przesadą nazwanie mego stanu paniką), znika z ekranu, by zagłębić się w ukrytej części swego BBS-u, dumnie nazwanego *Oklahoma Intitute of Virus Research (Instytut Badania Wirusów z siedzibą w Oklahomie)*. To miejsce nie istnieje w „rzeczywistości”. Nie istnieje w czasoprzestrzeni. Jest mirażem stworzonym przez komputer, pałacem w chmurach, fatamorganą, ale spotykają się tutaj rzeczywisci ludzie, a poczęte podczas tych spotkań idee znajdują swoje odbicie w rzeczywistym świecie. Elektroniczna tablica informacyjna Geno to program, który pozwala mojemu komputerowi podłączyć się do niej przez modem. Gdy już przekroczyć elektroniczne wrota, gdy sprawdzona zostanie moja tożsamość i podane hasło, znajdę się naprawdę wewnątrz jego systemu, a raczej wśród tych jego fragmentów, które zechce mi udostępnić.

Znalezienie się wewnątrz czyjegoś komputera przypomina przechadzkę po jego domu. Schowki przetrzāsane przez Geno w poszukiwaniu zdjęcia tajemniczej Slashy zawałone są rzeczami, których widok nie jest przeznaczony dla ogółu: wirusy komputerowe, bomby alfabetyczne, konie trojańskie, maszynki do tworzenia wirusów i siania zamętu (czy aby na pewno słowo „mechanik” pochodzi od francuskiego słowa „mechant”?). Wciskam klawisz i na ekranie pojawia się lista wirusów Geno, przypominająca listę win w dobrej restauracji — nazwy, roczniki, opisy — brakuje tylko cen. Wirus to rzecz absolutnie darmowa.

BACKFIND.ARJ	4757	09-26-93	Trojan, multiplikuje się na dysku twardym. Napisany przez jakiegoś dupka z SAD, żeby załatwić głupka imieniem Geoff.
BACKTIME-ZIP	605	09-12-93	Praga; sprawia, że zegar systemowy chodzi do tyłu.
BADBOY2.ZIP	1068	09-12-93	Stealth virus, odmiana „make me better”.
BADBRAIN.ZIP	2822	10-02-93	Bezmózgi wirus Hellraisera.
BWOLF.ZIP	2520	10-02-93	Beowulf. Trochę badziwny, mały wirusik, który napisałem po pijanemu.

W następnym schowku leżą porzucane narzędzia do tworzenia zabójczych ładunków. Wygląda to tak, jakby porzucił je podczas pośpiesznej ewakuacji jakiś cyberterrorysta.

G2-070B.ZIP	47705	09-13-93	Program piszący wirusy typu Dark Avenger.
GWKTROJ.ZIP	4370	09-13-93	Trochę badziewny program do tworzenia trojanów.
INSIBV2.ZIP	34984	09-13-93	Całkiem niezły program do tworzenia bomb ANSI.
IVP-V17.ZIP	40610	09-13-93	Instant Virus Production, najnowsza wersja.
MPC091B.ZIP	46178	09-13-93	Narzędzie do tworzenia wirusów.
MTE091.ARJ	111000	09-26-93	MTE Polymorphic Engine.
TPE11.ZIP	8709	09-02-93	TPE — kolejna Mutation Engine.
VCL.ZIP	1666650	09-13-93	Virus Creator Lab.
ZIP-TROJ.ZIP	2203	09-13-93	Bomba ANSI, rozpakowana formatuje dysk twardy.

Wyobrażam sobie wirusy jako bomby budowane przez brodatych anarchistów; niewinnie wyglądające pakunki owinięte w szary papier, przewiązane sznurkiem i ostemplowane nieczytelnymi pieczęciami zagranicznych urzędów pocztowych. Trojanów natomiast przyjmują w mojej wyobraźni postać koników na biegunach, wypchanych materiałem wybuchowym.

MEGATROJ.ZIP	11650	07-13-91	Zabójczy i niszczyielski trojan; ciesz się nim.
TROJ-1.ZIP	7598	02-19-91	Koń trojański od Hill People HQ.
TROJANS.ZIP	38447	07-13-91	Konie trojańskie od Immortal Grounds, Sysop: Toxic Waste.
ARIHAK93.ZIP	63368	11-13-93*	ARySToTeLEs, Instant 500-virus creator.
BOGUS.ZIP	124469	09-13-93	Bogus MSG writer (sic!).

Narzędzie do tworzenia fałszywek (*Bogus Msg writer*) jest jednym z mechanizmów napisanych własnoręcznie przez Gena, programem pozwalającym mu na szpikowanie sieci tysiącami wulgarnych wiadomości, z których każda wygląda na wysłaną przez kogoś, za kim Geno nie przepada. Arystotelesowe „500 wirusów na poczekaniu” (*ARySToTeLEs* to ekstrawagancki kolekcjoner wirusów z Wirginii) wyobrażam sobie jako urządzenie złożone z różnokolorowych

rurek i przewodów, niczym szafę grającą Wurlitzera. Raz spróbowałem go użyć. Pracował godzinami, aż wreszcie wypluł z siebie rój wirusów, wyglądających jak ławica ryb:

αΥτΣfl01.zip	668	14/08/93	10:31
αΥτΣfl02.zip	662	14/08/93	10:32
αΥτΣfl03.zip	661	14/08/93	10:32
αΥτΣfl04.zip	664	14/08/93	10:32
αΥτΣfl05.zip	669	14/08/93	10:32

Zapytasz niewinnie: Bear, a co to takiego, ten wirus komputerowy? To małeńki program, urywek kodu, który zagnieżdża się w innych programach, po czym multiplikuje się, by zarazić kolejnych nosicieli, podobnie jak żywy wirus. Wcale nie musi być niszczyielski. Jeśli zależy ci tylko na rozmnożeniu twojego kodu, wirus najprawdopodobniej będzie niegroźny. Nie jest jednak niczym skomplikowanym zawarcie w wirusie instrukcji niszczących lub dezorganizujących dane albo sprawiających, że litery na ekranie komputera będą z brzękiem spadały na dół, tworząc zgrabny stosik. Wedle dość rozpowszechnionej plotki Satanbug to wredny wirus. Jednak bez względu na to, jaki by nie był paskudny jakiś wirus, koń trojański zawsze będzie gorszy, ponieważ jego zamiary zawsze są wrogie. Wirusy grają z ofiarą w grę „złap mnie, jeśli potrafisz”. Trojany kłamią. Udają nieszkodliwe programy, ale kiedy je uruchomisz, mogą wyczyścić twardego dysk, wyrzucić pliki albo — jak to Geno kiedyś wyłożył — „wejść głęboko i wyruchać FAT” (tablicę alokacji plików, na podstawie której twój komputer odnajduje swoje zasoby). Wyjątkowo okrutnym przykładem trojana był *Storybook* (*Książka z bajkami*); program ten nęcił ofiary słowami: „Spójrz na uśmiech twego dziecka słuchającego bajek (dla dzieci w każdym wieku) opowiadanych przez Sympatycznego Klauna”.

„Sama radość” — powiada Geno — „pomysłowa destrukcja w dobrym stylu”.

To dziwne, ale przez cały czas (kilka miesięcy), kiedy łączyłem się z BBS-em Geno, nigdy nie zapytałem go, jak wygląda. Jego obraz w moim umyśle ulega przemianom. Czasami Geno jest wielkim, wąsatym blondynem. Innym razem jest niewysoki, kościsty, o ciemnej



karnacji. Ma długie włosy spięte w kucyk albo markową fryzurę Yula Brynnera. Tak naprawdę wiem o nim tylko tyle, ile zdecyduje się ujawnić podczas naszych komputerowych rozmów. Czuję się z nim związany, choć nigdy nie słyszałem jego głosu. To dziwna znajomość, kwitnąca niczym chiropterogamiczny kwiat durianu, tylko pod osłoną nocy.

*Światło dokoła ziemskiego przestworu  
Przygasa, wrona pociąga do boru  
Wdzięczny dnia orszak mdleje, chyli głowy,  
Natomiast nocna czerń zaczyna łowy<sup>1</sup>.*

Dochodzi do mnie sens tych słów i zastanawiam się, czym się stałem.

---

<sup>1</sup> W. Shakespeare, *Makbet*, tłum. Józef Paszkowski.

*Sam pośrodku cybernocy*

Trzecia dwadzieścia jeden rano, pośród pól i łąk Sussex. W głuszy rozpościerającej się za oknem jakieś małe zwierzątko, najpewniej królik, wydaje swój ostatni krzyk, gdy lis kończy jego życie. Tam dalej żyją o wiele niebezpieczniejsze stworzenia, ale nikomu nawet się nie śni, że istnieją naprawdę.

Noc, moja miłość, pełna jest niewidzialnych ścieżek, krzyżujących się wokół globu, odbijanych od stratosfery przez orbitujące satelity komunikacyjne. Wędrują po nich dziwaczni nomadzi, nieustannie czujni, wciąż poszukując nowych systemów, nowych ludzi, nowych informacji. Ci wędrowcy zbierają się w oazach i karawanserajach cyberprzestrzeni: tym BBS-ie, tamtej grze sieciowej. Pięćdziesiąt milionów ludzi podłączonych do sieci, ale wciąż, gdziekolwiek byś się nie udał, spotykasz tych samych. Trafiasz na ich trop w systemach z Ameryki Południowej i Argentyny. Wpadasz na nich podczas sieciowych imprez w San Francisco czy Sztokholmie. Słyszysz plotki, że ostatnio włamali się do High Street Bank, albo że ostatnio widziano ich tropiących — za pomocą BBS-ów podłączonych do satelity — nielegalnych handlarzy mahoni w dorzeczu Amazonki. Jak rakietę leć, szybsza będzie sieć. Jesteś w stanie w ciągu kilku sekund przemknąć pomiędzy Londynem, San Francisco i Finlandią, możesz dzwonić do przyjaciół mieszkających w takich miejscach jak Sarajewo, Bombaj czy Władywostok. Niektórzy są hakerami, piszą wirusy — możesz nigdy nie poznać ich prawdziwej tożsamości. Znasz niektórych jako naukowców, gospodynie domowe, muzyków, policjantów, a także pod innymi maskami, które nosili gdy walczyłeś z nimi w grach sieciowych lub flirtowałeś w Vorteksie, emporium ludzi głęboko angażujących się w odgrywanie ról. Ci ludzie to cybernomadzi, wędrowcy cyberprzestrzeni. Pierwsze obozy w cyberprzestrzeni należały do nich. Wyrysowali jej mapy i postawili swoje tabliczki. Nadali imiona konstelacjom na jej niebie. Dzielą z tobą prowadzone potajemnie życie i winę.

Trzecia dwadzieścia pięć rano. Tu w Anglii, przyzwoici użytkownicy komputerów dawno już udali się w objęcia Morfeusza. Poważni inżynierowie, łączący się wzajemnie ze swymi BBS-ami, by wymienić branżowe nowinki, już śpią. Uniwersytety przysnęły, a głos JANET, sieci uniwersyteckiej, jest cichszy od szeptu. W londyńskim City, pięćdziesiąt mil na północ od naszego domu, wielkie, komercyjne sieci komputerowe przeprowadzają transfery zdehumanizowanych danych, banki i korporacje handlują ułamkami, tu i tam, niczym muha przy szczelinie, haker czeka cierpliwie na okazję do wpełźnięcia do środka.

O tej godzinie życiem tętnią wyłącznie naprawdę specjalne gry sieciowe i pewne nietuzinkowe BBS-y. W Shades seryjni mordercy czają się w nadziei zaskoczenia nieświadomych niebezpieczeństwa nekromantów i czarowników, którzy pojawili się, by w środku nocy zdobyć kilka łatwych punktów. W tajemniczym Vorteksie gracze wciąż będą odgrywali swoje dziwaczne fantazje. Na BBS-ach z pirackim oprogramowaniem wrze ruch, ale piraci nie mają chwili wytchnienia przez całą noc. Na pornobiuletynach żądza powoli gaśnie, w miarę jak godzina wyjścia do pracy odciąga bywalców od klawiatur w stronę pustych łóżek.

Jednak są też ludzie tacy jak ja, nałogowcy, którzy okrążają kulę ziemską niesieni przez falę ciemności. W Oklahoma City jest teraz dziewiąta dwadzieścia pięć wieczorem. Komputerowa aktywność na wschodnim wybrzeżu Ameryki dopiero się budzi. Impreza na WELL w San Francisco nie rozkręci się na dobre jeszcze przez jakieś sześć godzin. W sieci przed północą nie dzieje się nic wartego uwagi. Tylko że północ okrąża glob z szybkością dochodzącą do 1000 km/h. Niektórzy modemowi dżokeje lubią objeżdżać świat na krawędzi nocy. Jeśli jesteś wystarczająco uzależniony, fundusze nie stanowią problemu i masz dostęp do chemikaliów, możesz sprawić, aby noc trwała wiecznie, bo w sieci zawsze gdzieś jest noc.

## Slasha

Trzecia dwadzieścia siedem rano. Geno wrócił.

*>znalazłem, ta, przypominam sobie... mówiła z takim eleganckim brytyjskim akcentem (jeśli mogę to osądzić, bo jedyne z czym mogę porównać, to film my fair lady i wspomnienia z krótkiego pobytu w bazie w szkocji, z czasów, gdy służyłem w lotnictwie); lubi opowiadać, że szpicruta jest naprawdę zbyt ostra, by ćwiczyć nią istotę ludzką, chyba że ta istota rzeczywiście na to zasługuje... :)*

*>To bardzo osobliwe, Geno. Naprawdę, wyjątkowo dziwne.*

*>ta, ale muszę przyznać, że ta slasha, czy też sasha, jest zabawna...*

*>Nie masz pojęcia jakie to cholernie podejrzane.*

*>daj spokój, myślałem, że dla brytoli takie rzeczy to normalka... hej, wiesz co, popchnę ci jej zdjęcie razem z wirusem... dobra, przygotuj się na powitanie satanbuga i slashy...*

Jest już zbyt późna godzina, by wdawać się w wyjaśnianie, że to nie sadomasochistyczne zapędy mnie zadziwiły. W sieci jest mnóstwo miłośników sado-maso. Spotykają się w takich miejscach jak Vortex, gdzie znajduje się osobny przybytek „Madame Pompadour”, poświęcony sztuce zadawania bólu. Nie, dziwne jest to, że kilka godzin temu usłyszałem po raz pierwszy o Satanbugu od administratora angielskiego BBS-u, Josha, który ma dziewczynę imieniem Carmina. A Carmina to wiotka blondynka, do poduszki czytająca katalogi Skin Two i bywająca na imprezach, na których istotną rolę odgrywają lateksowe wdzianka i płynny wosk, organizowanych przez zapaleńców z Vorteksu. I, jeśli to jeszcze nie oczywiste, mająca słabość do pejczy. Kiedy ostatnio widziałem Carminę, była odziana w suknię z czarnej gumy, przylegającą do ciała jak kondom, i sączyła wódkę przez otwór w skórzanej masce stroszącej kolce niczym jeżowiec.

Czy to tylko przypadek, że dzień po tym, jak Slasha ucina sobie pogawędkę z Jezusem Slutfuckerem, Josh pyta mnie o Satanbuga?

Slasha wysłała Geno kopię wirusa. Może kopia jest znaczone? Wystarczy niepozorna zmiana w kodzie — niczym radioaktywny pierwiastek wpuszczony do obiegu krwi — aby wyśledzić drogę, którą poruszał się wirus. Ale dlaczego miałbym być podejrzany? Josh nie wie, że znam Geno. Chyba nie sądzi, że jestem kanałem przertzutowym, przez który wirusy z Ameryki trafiają do Anglii? Obawy objają się o wnętrze mojej czaszki niczym metalowe guziki hałasujące w bębnie pralki. Bez sensu. Geno za moment wyśle mi zdjęcie Slashy. Za chwilę dowiem się, czy Slasha to Carmina. Siedzę i patrzę jak mój system powoli połyka Satanbuga.

Szukam ZIP: SAT-BUG.ZIP – CV BBS – NuKE WHQ – 514.425.4540

Lenght	Method	Size	Ratio	Date	Time	CRC-32	Attr	Name
7104	Implode	5131	28%	30-01-93	16:55	e65911831	—w-	TEST1.COM
4215	Implode	2847	33%	21-02-93	21:53	d0853e51	—w-	SAT-BUG.COM
2186	Implode	1147	48%	21-02-93	22:01	11060a6b	—w-	SAT-BUG.DOC
13505		9125	33%		3			

Robal przybywa zzipowany, skompresowany, czyli niegroźny. To niewiarygodne, jak wielu „ekspertów” nie zdaje sobie sprawy z tego, że wirus nie jest w stanie zakazić systemu, jeśli nie zostanie uruchomiony. Potworami w archiwum zip są maleńkie pliki z rozszerzeniem .com: *sat-bug.com* to wirus we własnej osobie, zaś *test1.com* to zarażony plik. Geno pisze:

*>wydaje mi się, że są dwa wirusy satanbug... nie jestem pewien, kto napisał pierwszego, możliwe że viper lub priest, ale przyznawali się do niego różni ludzie. dziwne, że o tym wspominasz, drugą odmianę dostałem od angielski lubiącej dostawać lanie, a potem drugi raz dziś od braciszka jacka. obie wyglądają na takie same i niewykrywalne... ok., oto nadciąga slash.*

— Bear, co ty tu jeszcze robisz?

Serce mi podskakuje niczym żaba w haiku Basho. Moja żona, przyodziana w koszulkę nocną, stoi w drzwiach, mrużąc oczy przed światłem.

— Eve! — odzywam się słabo. — Myślałem, że śpisz.

— Nie mogę spać. Co robisz?

— Kończę pisać coś do pracy. Za chwilę będę w łóżku.

— Jest trzecia trzydzieści, a rano musisz być w agencji.

— Nie martw się tym, proszę.

Marszczy brwi. Trudno mi stwierdzić, czy jest zła.

— Nie pracujesz. Co tak naprawdę robisz?

Szukam ZIP: SLASHA.ZIP — Instytut Badania Wirusów z siedzibą w Oklahomie

Lenght	Method	Size	Ratio	Date	Time	CRC-32	Attr	Name
49592	Stored	5131	0%	11-20-93	22:45	e4e07671	—w-	SLASHA.GIF
49592		49592	0%					1

Na szczęście nie podchodzi bliżej ekranu. Zdjęcie Slashy właśnie przeszło, Geno jest z powrotem, zawzięcie stukając w klawiaturę, litery wyskakują na ekran monitora:

*>...może wszystkie angielski lubią brać w skórę, tego to nie wiem:-) amerykanki chyba za tym nie przepadają, jednemu wieśniakowi żona obcięła fiuta za to, że ją pobił i zgwałcił. trąbią o tym na wszystkich stacjach...*

Eve drży. Podnoszę się, odwracam i obejmuję ją. Nie odpowiada. Kątem oka obserwuję wynurzenia mister Slutfuckera rozstrzelane po ekranie.

— Będę za chwileczkę — mówię — obiecuję.

— Tak jest co noc — Eve odpowiada cicho. Uwalnia się z moich objęć i znika.

Czekam, by upewnić się, że na pewno położyła się do łóżka, po czym oglądam gif. Z ekranu patrzy na mnie kobieta o obfitej, okrągłej twarzy. Za grosz podobieństwa do eksdziewczyny Josha. A więc jednak to przypadek.

## *Zamek Króla Rybaka*

Jest niewidzialny dla reszty świata. Jadąc uliczką nie dostrzegamy go. Widzimy tylko drzewa — dęby, jesiony, głogi, leszczyny, graby i cze-reśnie, wznoszące dumnie liściaste blanki i wieże. Ale oto i brama. Pochyleni, wchodzimy do zielonej jaskini, na końcu której mającą promienie światła. Stąpamy po splątanych korzeniach. Eve zanurza się w zielonym chaosie i odchyła gałąź, ukazując doskonały, różany kształt kamelii.

— Musielibyśmy zwariować, żeby zdecydować się na ten dom — stwierdza. — Nie dalibyśmy sobie z nim rady.

Dom pojawia się przed naszymi oczami dopiero wtedy, gdy jeste-śmy kilka metrów od niego. Jest osłonięty dachówką w stylu Sussex Weald, cegły zaś mają w cieniu drzew delikatne zielone zabarwienie. Z okiennych framug łuszczy się farba, a brakujące kwadraty szkła zastąpiono tekturą. Drzwi frontowe strzeżone są przez jeżyny, wysta-wiające w naszą stronę miękkie, ostre kolce, broniące dostępu. Wszę-dzie wokół coś zwiesza się nad naszymi głowami, jesteśmy skąpani w zielonym świetle. Zakochuję się w tym domu natychmiast.

Zastajemy właściciela, pana Groliusia — starszego człowieka z bu-rzą białych włosów wystających we wszystkich kierunkach spod ma-rzynarskiej czapki (oprócz bujnej czupryny ma także brodę) — sie-dzącego na ławeczce obok tylnych drzwi.

— Zgadza się, drzwi frontowe się nie otwierają — wyjaśnia, gdy tłumaczymy swoje nagłe pojawienie na tyłach domu. — Wyleciały z zawiasów. Futryna jest cała przegniła, zdałoby się ją wymienić. Musiałem zabić drzwi na dobre.

Gdy mówimy, w jakiej sprawie przyszliśmy, wydaje się zasmucony. Tłumaczy, że dom jest na sprzedaż, bo żona chce się wyprowadzić.

— Ma już dość, chce mieć coś z życia. Powiedziała, że moim za-sranym obowiązkiem jest to jakoś ogarnąć. No cóż, nie powiem, przydałoby się tu i ówdzie przejechać pędzlem. Tu i ówdzie wy-pielić. Ale ja nie lubię zabijać żywych istot.

W to trudno wątpić. Oprowadza nas po ogrodzie w którym szaleje rewolucja, roślinne powstanie kwitnących i rozsiewających się chwastów. Wszystko jest podwiązane, przywiązane lub przewiązane — nic nie jest przycięte. Tych roślin nie tknęły nożyce, nie odcięto nawet jednej łodygi, ani jeden korzeń nie został przed czasem wyrwany z łona matki.

— Jest śliczny — stwierdza Eve, a ja widzę, że nie mówi tego poważnie.

— Wielkie dzięki. Niewielu by się zgodziło z tymi słowami. — Mówiąc to Grolius zawiązał kolejny węzeł na płataninie sznurka, którym bezskutecznie usiłował ograniczyć zbyt bujny rozwój pnącej róży.

— Dwa dni temu była tu taka jedna parka, łazili po ogrodzie zadzierając nosa. Przyłapałem ich, jak spoglądali z obrzydzeniem na stokrotki w trawie. Nie mogę z czystym sumieniem nazwać tego trawnikiem, muszę przyznać. Dla mnie trawa bez stokrotek jest jak nocne niebo bez gwiazd. Na odchodnym powiedzieli, że im przykro, ale dom nie jest w ich stylu.

— Niech pan się nie martwi, panie Grolius, nas to nie odstrasza — nie odważyłem się spojrzeć na Eve. — Pański ogród jest uroczy.

— To prawdziwy kawałek starego Sussex — dumnie oświadczył właściciel. — Ziemia jest czysta. Nie stosowano tu żadnych chemikaliów ani polepszaczy, ani w ogrodzie, ani przed domem. Te rośliny rosną tutaj od niepamiętnych czasów. Mam tu naprawdę rzadkie okazy. O ten tam, to rzadki okaz.

— To szafirek miękkolistny — szepcze do mnie Eve.

Potrafi rozpoznać je wszystkie, miodunki, lnice, lilaki, peonie, walczące o przetrwanie na pobojuwisku tego, co niegdyś było pięknym ogrodem. Pośrodku zagonu róż stoją widełki ogrodnicze, po których trzonku mozolnie wspina się kielisznik. Eve półgłosem stwierdza, że ten obrazek idealnie nadawałby się na okładkę książki „Leniwy Ogrodnik”.

Sad jest równie zarośnięty jak reszta ogrodu. Około dwudziestu jabłoni i grusz, w konarach których pną się kolczaste krzaki i sześć rozpadających się kurników zagubionych w porzeczkowej dzungli.



— Kury zostają — stwierdza Grolius. — Jest ich już tylko pięć. Nie doliczam za nie do ceny domu. Ale chcę, żebyście wiedzieli, że traktowaliśmy je jak domowników.

Eve pozwala sobie na mały wybuch wesołości.

— Niech się pan nie martwi — zapewnia — nie zjemy ich.

— I jeszcze jedno — mówi gospodarz, wskazując na stareńkie drzewo, którego gałęzie przebijają się przez konstrukcję eleganckiej niegdyś szklarni, wystawiając w naszą stronę małe, białe kwiatki. — Może pomyślicie, że jestem stary dziwak, kiedy to powiem, ale jeśli będziecie chcieli ściąć staruszkę, a nawet jeśli będziecie chcieli tylko ułamać jej gałąź, musicie wpierw ją przeprosić.

— Będę z wami szczerzy — oznajmia starszy pan, prowadząc nas z powrotem w kierunku domu — kiedy moja żona przyjmowała ludzi, którzy mogli być zainteresowani kupnem domu, miała wszystko przygotowane. Wicie, pośrednik od nieruchomości dał jej kilka wskazówek. Trzeba zaparzyć kawę. Z prawdziwych ziaren, trzeba je najpierw zemleć, rozpuszczalna jest do niczego. Trzeba włączyć płytę z muzyką Mozarta. Ozdobić cały dom kwiatami. Ale ja nigdy tego nie robiłem, może dlatego, że nie chcę, żeby ktokolwiek kupił ten dom.

Eve spojrzała na mnie zdezorientowana. Grolius, przedzierając się przez wysokie po pierś chwasty, zatrzymał się, by unieść pochyłego złotokapa.

— Robię co mogę, żeby ich odstraszyć — wyznaje nam. — Dla tego niczego tu nie naprawiam. Jak się będę musiał stąd wynieść, pęknie mi serce. Pani...?

— Bear — przedstawia się Eve, którą to wyznanie zarówno wystraszyło, jak i sprawiło, że poczuła ulgę.

— Proszę się nie martwić panie Grolius. Nie kupimy go. Prawda, Bear?

— Nie — potwierdzam jej słowa — nie, w żadnym razie.

Ale to jeszcze bardziej zasmuca właściciela — ojej, ojej, myślałem, że dom się państwu podoba. Nie podoba się, pani Bear?

— Cóż, w rzeczy samej jest prześliczny — odpowiada złapana w pułapkę Eve.

— Więc musicie go wziąć — mówi Grolius. — Nie, naprawdę nalegam. Nic mi nie przyjdzie z trzymania się go. Widzą państwo, mówiąc szczerze, nie mogę sobie na niego pozwolić. Rozchodzimy się z żoną. Znalazła dom dla siebie i potrzebuje szybko pieniędzy.

Jego oczy robią się wilgotne. Opowiada nam, że już ze sobą nie rozmawiają. Żyją w tym domu jak dwie obce osoby, każde dla siebie pierze, gotuje, nie spoglądają na siebie i nawet nie mówią sobie „dzień dobry”. Porozumiewają się za pomocą karteczek. Łapię spojrzenie Eve i zgaduję, o czym ona myśli — o tym samym co ja: że coś takiego nigdy się nam nie przydarzy.

Gdy odjeżdżamy, jedynymi częściami Groliusa wystającymi ponad gąszcz są jego marynarska czapka, włosy potargane na podobieństwo sztucznych ogni i ręka machająca na pożegnanie. Już później uświadamiamy sobie, że tak naprawdę nie zwróciliśmy uwagi na dom i pamiętamy tylko że był ciemny, pachniał jabłkami i wilgocią — mieszanina typowa dla angielskiego domu na wsi, w którym brakuje centralnego ogrzewania.

— Nie możemy tam zamieszkać — stwierdza Eve z przekonaniem. — On rozłazi się w szwach. W ścianach jest wilgoć, po sufitem widać ślady paskudnej, czarnej pleśni. Nie ma porządnego ogrzewania. Dzieci się pochorują. Ogród to istna dzicz. Trzeba by w to włożyć za dużo pracy, a ty całymi dniami siedzisz w Londynie. Nie damy rady.

Na dzień przed przeprowadzką dzwoni Grolius, cały w przeprosinach, że złamała się kolejna jabłoń. I że nie musimy się już martwić kurami, bo lis, stary spryciarz, powyjadał wszystkie.

Nasze walizki, trzydzieści kartonów z książkami, zajmują cały dom. Bierzemy dwójkę małych dzieci, wielkiego psa i idziemy rozejrzeć się na zewnątrz. Koło tylnych drzwi wciąż stoi ławeczka Groliusa. Na niej leży rozplaszczony, przemoknięty kawałek materiału.

— Spójrz, Bear — mówi Eve — zostawił ci swoją czapkę.

Bez egzotycznego gospodarza, miejsce przybiera swą prawdziwą postać — wilgotnego domu położonego pośrodku podmokłego gąszczu. Wiem też, że Eve zgodziła się kupić ten dom tylko i wyłącznie dlatego, że obiecałem jej solennie, iż przyłożę się do roboty przy jego restauracji i pomogę jej w doprowadzeniu ogrodu do porządku. Nie przyznaje się do tego, ale wiem, że żal jej naszego wygodnego, małego domku i przyjaciół, których zostawiliśmy o całe mile stąd. Przez cały miesiąc po naszej przeprowadzce bez przerwy pada, ale my niezadowolone kopujemy i pielimy. W popiołach starego ogniska znajduję

skarby, wykopuję rzeczy, które musiały zostać wyrzucone dawno temu, w czasach młodości domu — przerdzewiała ze szczętem klamrę od pasa, rękę porcelanowej lalki i kanciaste flaszki po specyfiku na ból żołądka.

Zielona dróżka za sadem prowadzi na łąkę; trawy sięgają tu Eve do ramion. Przedzieramy się przez nie i wygniatamy sobie gniazdko pośrodku. Leżymy ukryci, otoczeni ścianą z traw i kochamy się, a świadkami naszej miłości są tylko płynące po niebie chmury. Już po wszystkim, z głową opartą na moim ramieniu, Eve mruczy sennie.

— Bear, o co Grolusowi chodziło, kiedy gadał o tym starym drzewie?

Dzień po przeprowadzce nasza czteroletnia córeczka podskakuje na podłodze w salonie:

— Ooo, patrzcie, jak na trampolinie!

To coś, co nasz ekspert od nieruchomości przeoczył — w jednym rogu deska odchodzi od podłogi na dobre dziesięć centymetrów. Legar pod nią jest cały szerniały i miękki. Cuchnie pleśnią. Jest zupełnie przegniły. Wszystko trzeba będzie wymienić.

Zawłaszczam mały pokoik zaraz obok na gabinet i przenoszę moje pudła. Książki, rzeczy do pisania, komputer i małą skrzynkę modemu.

*Jamrach & Sons*

BBS Geno, na którym znajduje się menażeria zerojedynkowej fauny i cały arsenał cyberbroni, przypomina mi Jamrach's, sklep, który funkcjonował w Londynie jakieś sto lat temu. Stał na niesławnej Ratcliffe Highway, „polu walki werbowników i obcojęzycznych marynarzy z długimi nożami”, w części miasta pasującej do Kuby Rozpruwacza — miejscu pracy dziwek za dwa pensy, indyjskich jadłodajni i palarni opium. Odwiedził je doktor Watson w „Znaku Czterech” (Odpowiedz mi mój drogi, mam ja w tej torbie żmiję i rzucę ci ją na głowę, jeśli tu nie spojrzysz!), Jamrach oferował swoim klientom menażerię lwów, tygrysów i niedźwiedzi, panter i słoni, aligatorów, małp, papug i żmij, a do tego: „Wystawioną na sprzedaż największą na świecie i najbogatszą kolekcję broni, ciekawostek, sztuki ludów dzikich i cywilizowanych”. W rogach stały fantastyczne figury bogów i bogiń, dziwaczne bronie i pancerze, cudowne rzeźby z kości słoniowej, bezcenne klejnoty starej japońskiej ceramiki, złoty Budda naturalnej wielkości, zmniejszone głowy, gliniana maska z drapieżnie wyciągniętym językiem, przepięknie muszle, turbany, czaszki noszące ślady po gwałtownej śmierci, a wśród nich czaszka niewątpliwego kanibala.

BBS-y cybernomadów są podobną zbieraniną, chaosem rzeczy, trofeów, ciekawostek i pamiątek przywiezionych z najodleglejszych zakątków metawersum. Zmniejszone głowy, kanibalizm, dziwni bogowie, rytualne maski, dzikie zwierzęta — tak, to wszystko możesz znaleźć w cyberprzestrzeni, a także wiele innych rzeczy, których niekoniecznie byś się tam spodziewał: szczątki Neandertalczyków, kurarę, jady kobr i grzechotników, plany techniczne bomby atomowej, eliksiry nieśmiertelności, żelazne obroże, skórzane maski, skórzaną bieliznę, a także współczesnych Burke'ów i Hare'ów, handlujących prawdziwymi ludzkimi czaszkami, kompletnymi szkieletami, rękami, nogami itp. („Wszystko dokładnie wyczyszczone i w wyśmienitym stanie, żadnych ubytków”).

*Lorelei*

Posłuchaj, Eve. We wzgórzu jest jaskinia, wyżłobiona w wapieniu językiem wody. Ciągnie się przez sześć metrów, po czym zwęża się w szczelinę, przez którą, jak mówią legendy, prowadziło podziemne przejście do świata baśniowych stworzeń. Dziś nie ma w tym miejscu nic niezwykłego. Podłoże usiane jest zwykłymi śmieciami pozostającymi po turystach, zgniecionymi puszkami coli, papierosami rozmokłymi niczym kupki końskiego nawozu, używanymi prezerwatywami. W kręgu poczerniałych kamieni swoje ogniska palili odwiedzający to miejsce skauci, wędrowcy, włóczędzy, trampowie, kto tam tylko chcesz. W rogu jakieś dziecko zgubiło różową, plastikową bransoletkę. Na ścianach — niczym w grocie Peche Merle — pokolenia graficiarzy pozostawiły ślady swej infantylności.

*Ten, co to napisał, był seksistą*

*Joey to koniobijca*

*Effie kocha swój paluszek*

W głębi jaskini starsze napisy: data — rok 1781 — i inicjały, przypominające litery S.T.C.

Wszystko to powoduje w Laurze Hunter (dla przyjaciół Lorelei) poczucie niesmaku. Wychodzi, stojąc w słońcu mruży oczy, patrząc w stronę, w której krajobraz opada w płaszczyznę poprzecinanych rowami pól. Oto jej cel — opleciony powojem zamek, który bardziej chwieje się nad brzegiem fosy niż się nad nią wznosi; opleciony smużkami mgły przypominającymi kawałki nasączonej eterem gazy. Uosabia to wszystko, co budzi w niej odrazę.


Lorelei ze wstrętem wrywa obcasy z miękkiej gleby Oxfordshire. Mieszkając w Londynie, od lat nie widziała pola i nie przypuszczała, że aż tak wiele ich jeszcze zostało. Trafiła tutaj, by znaleźć miejsce odpowiednie do sesji zdjęciowej. Reżyserowi zachciało się zamku, więc Lorelei, licząc głównie na możliwość wyrwania się z biura, zgłosiła się na ochotnika do wyszukania odpowiedniej lokacji. Jest młodszym

copywriterem w londyńskiej agencji reklamowej, znanej z zaskakujących kampanii — surrealistycznych billboardów reklamujących papierosy Benson & Hedges, zabawnych reklam telewizyjnych promujących cygara Hamlet i piwo Heineken. Dla agencji jest to trzeci złoty wiek, żyje w swojej własnej chwale w świecie, gdzie szklanki Cinzano zawsze wylewają się na dekolt Joan Collins, a szorstcy mieszkańcy Yorkshire zawsze używają pieczywa Hovisa do swoich kanapek. Wkładem Lorelei do reklam Hovisa jest kilka słów wypowiedzianych przez oprószonego mąką piekarza do chłopca, który przebył trzy mile, żeby kupić bochenek: „Chłoptasiu, nie jesteś taki durnowaty, na jakiego wyglądasz”.

W rzeczywistym świecie panuje strach przed recesją i właściciele agencji, na tajnych zebraniach prowadzonych za zamkniętymi drzwiami, mówią o „cięciach”, lecz ludzie pracujący w reklamie przyzwyczajeni są do życia na wysoki połysk, nie bardzo też potrafią odróżnić ekscentryczność od talentu, więc przymykają oko, kiedy Laura pożycza wynajęte Porsche, którym na co dzień jeździ szef copywriterów, po czym zostawia je na lotnisku Heathrow, z drzwiami otwartymi na oścież, ponieważ, jak to później wyjaśnia, nie miała pojęcia gdzie jest parking, nie miała czasu się tego dowiadywać i nie miała zamiaru spóźnić się na lot do Nowego Jorku, a przecież i tak leciała tylko na weekend. Tak przynajmniej wygląda jej wersja zdarzeń. Nowy Jork to ulubiona odskocznia Lorelei. Ma w Greenwich Village przyjaciół, którzy znają Mapplethorpe’a i Warhola. *Linger on, your pale blue eyes* — śpiewa jej do ucha Lou Reed i proponuje, żeby wybrali się do Georgii obudzić Moe Tucker. Lorelei tańczy z Mickiem Jaggerem (nie, z kimś modniejszym — z Davidem Bowie) podczas nocy cyberdziwek w Jackie 60 (to mała wpadka, nie wszystko, co mówi, może być brane na poważnie, ale kto z nas jest naprawdę takim, jakim się wydaje?); tańczy aż jej skóra zaczyna lśnić niczym zbroja, i tańcząc krzyczy do partnera na zatłoczonym parkiecie, że odkryje tajemnicę nieśmiertelności.

Cynik mógłby stwierdzić, że Lorelei żyje w świecie banałów. Jej życie jest dokładnie takim, jakiego można się spodziewać po dziewczynie tak bystrzej, inteligentnej i atrakcyjnej jak ona. Jest bystra, ukończyła z najwyższymi notami literaturę angielską w Cambridge,

i — oczywiście — jest także atrakcyjna; ma dwadzieścia trzy lata, jest szczupłą, naturalną blondynką. Mężczyznom szczęki opadają niżej krzyża kiedy słyszą sam jej opis. Lorelei lubi średniowieczną poezję francuską, muzykę Thierry Robina, ciuchy, imprezy, taniec, szybkie samochody i seks, pod warunkiem, że ten nie jest zbyt ciężki, a kochanek nie nazbyt poważny i vice versa. Jeśli ktoś rozsądny miałby opisać dziewczynę idealną, za wzór mógłby wziąć właśnie Laurę H.

I oto jest, ta zadziwiająca panna, stojąca i krytycznie spoglądająca na chylący się ku upadkowi zamek, porównując go z innymi znanymi sobie twierdzami. Na myśl przychodzi jej Carcassonne w Langwedocji, zburzony podczas krucjaty Simona de Montforta przeciwko Katarom w roku 1209, odbudowany w dziewiętnastym wieku zgodnie z kaprysem Violet le Duc; zamek Śpiącej Królowy w Orlando, stworzony jako pierwowzór dla wszystkich fantazji przez Walta Disneya; zamek Drogo, stojący na brzegu kamiennej grani na skraju Dartmoor; zamek Williama Randolpha Hearsta — coś z przenośnego zamku zamków, złożonego z elementów rzeczywistych budowli, zlepionych pastiszem, łącznie z fragmentami żywcem wziętymi z Pałacu Dożów w Wenecji. Zamki zawsze były bajkowe. Nigdy nie budowano ich z powodów wyłącznie praktycznych; zawsze, nawet w średniowieczu, miały odzwierciedlać sny o potędze lub namaszczeniu. To prawda — dochodzi do wniosku Lorelei (Eve, jeśli zastanawiasz się, skąd wiem dokładnie co ona sobie myśli, po prostu uwierz mi na słowo) — każdy zamek, jaki przychodzi jej do głowy, od chmurnych baszt fatamorgany, po krenelaże wyglądające jak  zawijasy wyrysowane laską przez Wujaszka Toby'ego (którego pierwowzorem był Don Kichot, a którego opisał Tristrama Shandy), zamek Makbeta („Niebo tchnie tu przyjaźnię”), zamek Świętego Graala pokazany przez Monty Pythonów, z którego murów wrogowie byli obsypywani nóżkami pieczonych kurcząt, ponure blanki Zamku Bunratty w hrabstwie Clare, zaopatrzone w otwory, przez które lało się na przeciwników wrzący olej, i wreszcie samo Carcassonne, z którego niedostępnych wyżyn obrońcy mogli bezkarnie srać na głowy oblegających (zagłada Carcassonne przemawia Laurze-Lorelei do wyobraźni: sprowadzona została przez religię nauczającą, iż świat został zbudowany przez złego stwórcę, zaś ludzkie dusze są odłamkami boskiej istoty, uwięzionymi w nieczystych ciałach, i muszą wyzwolić się ze świata masy, energii, przestrzeni i czasu).

Daleko w dole, pośród zamkowych murów, Lorelei dostrzeża coś dziwnego — małą dziewczynkę biegnącą w staromodnym strou jak z „Alicji w Krainie Czarów”. Goni królika? Na pewno nie. Może to herbatka u Szalonego Kapelusznika? Dziecko znika jej z oczu, ale jego obecność podnosi na duchu. Lorelei zdejmuje pantofle i zbiega w dół wzgórza, zakłada je dopiero wtedy, gdy trafia na ścieżkę u jego stóp i wchodzi na naruszony zębem czasu most zwodzony, zastanawiając się, czy jej obcasy nie wbijają się w spróchniałe drewno.

Jest tu ktoś jeszcze — młody chłopak z plecakiem. Wrzuca do wody kulki z chleba dla olbrzymiego karpia, który wynurza się z głębin, otwierając szeroko pysk i połykając okruchy spływające w dół zielonych wirów.

— Cześć — wita ją chłopak, uśmiechając się. Wygląda sympatycznie i Lorelei cieszy się, że nie jest tu sama. Chłopak pyta ją, czy ma zamiar wejść na zrujnowany dziedziniec i czy mógłby jej towarzyszyć. Laura zgadza się i wciąż zastanawia się, o czym będą rozmawiać, kiedy on podbiega i spod kurtki wyciąga zardzewiałe ostrze długości miecza. Lorelei nie ma czasu nawet by krzyknąć, gdy odrąbuje jej głowę.

Odradza się trzy sekundy później, lżejsza o połowę punktów i pozbawiona niewinności. Przyswoiła sobie pierwszą lekcję cyberprzestrzeni: że chociaż wszystko dookoła — nawet ona sama — jest wyimaginowane, to jednak zagrożenie jest realne.



*Tylko dla Nieśmiertelnych*

## **Drogi Bear**

**Mam zaszczyt zaprosić Cię na uroczystość  
z okazji czterdziestych urodzin**

## **Gawaina Zielonego Rycerza**

**W sobotę, 8 października  
na Paradise Avenue 36, Londyn SW14  
Od ósmej póki kur nie zapieję**

**TYLKO DLA NIEŚMIERTELNYCH**

**Przebierz się, przynieś flaszkę**

Zabójstwo księcia wirtualnego państwa na tym przyjęciu mogłoby wywołać Pierwszą Wojnę Wyrdową<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> Nieprzetłumaczalna gra słów „First Wyrd War” — „First World War”  
— *przyj. tłum.*

## *Wielka Młócka*

Lorelei zginęła i narodziła się na nowo, w miejscu zwanym Shades, odległym zakątku cyberprzestrzeni, rzadko uczęszczanym przez turystów. Shades jest grą sieciową, miejscem odwiedzanym przez niepospolitych ludzi pragnących uciec przed „rzeczywistością” (zauważ, Eve, że przyparłem temu paskudnemu słowu ośle uszy), odgrywających w gronie im podobnych swoje agonie i ironie. Nazywam to miejscem, ale jaskinia, krajobraz, zamek i rozciągający się pod nim labirynt Shades nie są niczym więcej niż słowami na ekranie monitora, opisami, po których można poruszać się wyłącznie według wskazań kompasu wyobraźni. Tym niemniej, dla postaci je zamieszkujących są całkowicie rzeczywiste. Takie krainy można odkryć jedynie przez przypadek. Każdy gracz trafia tu w inny sposób. Dla mnie ścieżka do sceny mordu pod zamkowymi murami prowadzi bezpośrednio z miejsca w „rzeczywistym” świecie. Mogę nawet podać współrzędne geograficzne: 51°58’N, 1°35’W, Ordnance Survey SP 296309. To w tym miejscu, o czwartej dziesiąt, podczas zimnego popołudnia piętnaście lat temu poślknęła mnie dziura cyberprzestrzenna.

Spędziłem rano w samochodzie, objeżdżając ścieżki północnego Oxfordshire, w pobliżu wsi Great Tew, poszukując śladów obecności cyrku. Gdy po raz trzeci minąłem tego samego staruszka, jadącego rowerem po wciąż tej samej drodze, zatrzymałem się, by spytać o drogę, gdy nagle dotarło do mnie, że zapomniałem, jak nazywa się gospodarstwo, którego szukam.

— Tam, gdzie zimuje cyrk Chipperfields — wyjaśniam. — Gospodarstwo, w którym mają lwy, niedźwiedzie i inne takie.

Staruszek mierzy mnie spojrzeniem.

— W Anglii nie mamy lwów — mówi.

— To nie jest takie normalne gospodarstwo — zaczynam mówić wolniej. — To miejsce, w którym cyrk spędza zimę. Mają tam najróżniejsze zwierzęta: tygrysy, lwy, słonie...

— Tu nie ma słoniów — starzec potrząsa głową. — Tylko owce i bydło.

— Ale to pieprzony cyrk!

Staruszek odsłania w uśmiechu kilka pożółkłych zębów, język trafia w największą przerwę.

— Hehehehe — rechoce. — Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać.

Podobnie jak Lorelei, jadę uczestniczyć w sesji zdjęciowej do kampanii reklamowej. Naszym zadaniem jest zdobycie zdjęć byka i niedźwiedzia. Potem je zmontujemy i stworzymy sekwencję obrazów byka, stopniowo przeobrażającego się w niedźwiedzia. Posłuży to przy produkcji reklamy rzeczy zwanej modemem, która pozwala twojemu komputerowi za pośrednictwem linii telefonicznej połączyć się z innym komputerem i uzyskać dostęp do najnowszych kursów akcji. Nasz pomysł jest taki — użyj tego modemu i nie daj się zaskoczyć, gdy hossa symbolizowana przez byka zamieni się w bessę, której znakiem jest niedźwiedź. Sam pomysł, że siedząc przy komputerze w biurze lub w domu możesz w każdej chwili sprawdzić kursy akcji, wydaje mi się niesamowity. Niezwykle dla mnie jest nawet to, że można mieć swój własny komputer. Nie spotkałem dotąd nikogo, kto używałby komputera, czy to w domu, czy w pracy — będę pierwszą osobą z mojego kręgu znajomych, która będzie miała okazję wypróbować to urządzenie. Zanim wyruszyłem do Oxfordshire, odwiedziłem mieszczącą się w Bristolu filię firmy komputerowej o nazwie Apricot. Na tylnym siedzeniu mojego wozu spoczywa teraz wielkie pudło, a w nim komputer o nazwie F1, odpowiedź Apricotu na Macintosha, nowinkę ze stajni Apple'a. Modem i magiczny dysk leżą sobie na siedzeniu pasażera w reklamówce, podczas gdy ja jadę zgodnie ze wskazówkami udzielonymi przez starego żartownisia („z powrotem tą drogą, którą przyjechałeś, dawaj w lewo, jedź jeszcze z półtorej mili i możesz wypatrywać słoni”).

Faktycznie, musimy uważać na niedźwiedzie gówno. Cuchnie jak psia kupa, tylko bardziej. Odchody niedźwiedzia są ciemne i zwarte, a gdy w nie wdepniesz, w nozdrza uderza paskudny, kwaśno-gorzki odór. Sooty, niedźwiedzica brunatna, jest młoda i nienawykła do reflektorów. Wypróżnia się co chwilę, pozostawiając wszędzie wielkie kupy. Reżyser narzeka na smród, a Stak, nasz zawsze elegancki grecki fotograf, który nigdy nie przepuści okazji, żeby pogadać o winie, wtrąca, że znacznie chętniej powąchałby bukiet dobrego bordo,

aczkolwiek jego ulubionym „bordo” — nic nigdy nie jest takie, jakim się wydaje — jest mieszanka cabernet-sauvignon-syrah-mourvedre-grenache z Doliny Beka.

— Damy jej odpocząć — oznajmia Jim, treser niedźwiedzicy. Jest młoda i lubi się bawić jak szczeniak, ale niedźwiedzie są nieobliczalne. Nie odgadniesz jej zamiarów z wyrazu pyska. Może po prostu *ruszyć*.

My ruszamy. Robimy sobie przechadzkę po gospodarstwie. Bijące od zwierząt ciepło, zapach słomy, wszechobecny smród odchodów, dym z ogniska. Wzdłuż siatki stoi rząd wozów do transportu zwierząt, klatek na kółkach. Niektóre są ogromne — co za bestie w nich trzymają? Wchodzimy na poletko i spogląda na nas pół tuzina pasących się zwierząt. Nie krów, a wielbłądów.

— Spokojnie — mówi Stak. — Są ab-so-lut-nie niegroźne.

Schyła się po kępę trawy i podchodzi do wielbłądów. Pani dromader, której nie spodobała się jego pewność siebie albo źle zrozumiała jego intencje, splunęła wielkim, zielonym glutem. Stak wieje, wielbłąd jest tuż za nim (ucieczka przed wielbłądem), starając się go złapać zębami za siedzenie; reżyser i ja tarzamy się ze śmiechu.

Już po sesji zdjęciowej Stak proponuje, że zrobi nam obu zdjęcie przed klatką z lwami. Dumnie ustawiamy się do fotografii.

— Nie mogę objąć was obu — mówi Stak — cofnijcie się kawałek.

Bark reżysera opiera się o klatkę, lew wydaje z siebie straszliwy ryk i szarżuje na kraty. Stak chichocze jak opętany. — Cholera, nie wyszło — mówi. — Wyskoczyliście mi obaj z kadru.

Wsiadam do samochodu i jadę do domu, ale skręcam w złą stronę. Jest za dwadzieścia czwarta.